

„PRZYJDŹ DO MNIE”
autor: Paweł Dalek

Kiedy Czesław Niemczycki miał sześćdziesiąt pięć lat, zmarła mu żona. Stało się to rankiem, dwudziestego trzeciego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. W ten środowy poranek obudził się jak zwykle o godzinie szóstej. Budzik nie dzwonił od czasu, kiedy przeszedł na emeryturę, lecz mimo to zawsze wstawał o tej samej godzinie już od czterdziestu lat. Od momentu, kiedy otworzył oczy miał przeczucie, że coś jest nie tak. Miejsce, gdzie spała jego żona Helena było puste, poduszka wyglądała tak, jakby nikt na niej nie leżał, a kołdra starannie wyrównana. Przez myśl przeszło mu, że Helena wyszła na poranne zakupy. Niestety po chwili uprzytomnił sobie, że nie wychodziła ona z domu od blisko roku.

Jakiś czas temu jej stan psychiczny znacznie się pogorszył. Podejrzewano schizofrenię paranoidalną. Helena miewała znaczne zmiany nastroju, wahające się pomiędzy okazywaniem gorących uczuć swojemu mężowi, a gniewem i agresją. Często rzucała mu oskarżenia o posiadanie kochanek, o to, że wszyscy spiskują na jej życie i wszyscy chcą jej zguby. Zaraz po tym przeproszała. Niejednokrotnie wstawała w nocy, siadała w fotelu by w ciemnościach przeglądać zawartość swojej kosmetyczki mruczając pod nosem wyzwiska na „tych”, którzy w niej rzekomo grzebali. Potem zazwyczaj zaczynała płakać. Czesław z początku wstawał do niej i uspokajał, ale to wywoływało tylko krzyk i deszcz obelg. Później tylko obserwował. Leżał z otwartymi oczyma i patrzył jak jego ukochana żona zatracą się w matni obłędu. Jego oczy też były mokre. Mimo tego wszystkiego kochał swoją żonę równie mocno jak w dniu, gdy się poznali. W sercu czuł ogromny ciężar i żal, że tak trudno poradzić sobie z tą przypadłością. Wiedział, że słów złości i wyimaginowanych podejrzeń nie mówi jego ukochana Helenka, ale choroba, która się w niej zagnieździła. Czasami miał ochotę odebrać sobie życie, ale co wtedy stałoby się z nią? Nie chciał, by umieszczono ją w zakładzie. Nie mógłby spojrzeć sobie potem w oczy, nawet na tamtym świecie. Opiekował się nią jak tylko potrafił i na ile pozwalało mu zdrowie. Ale nie narzekał. Trzymał się dziarsko a ciało nie ulegało zbyt wielu dolegliwościom. Katar i lekka zadyszka na schodach były wszystkim, co mu dokuczało. Może gdyby mieli dzieci, wiele spraw potoczyłoby się inaczej. Pierwszy syn zginął pod kołami pociągu, kiedy miał czternaście lat. Była to największa tragedia w ich życiu. Tak do końca nigdy się z tym nie pogodzili. Pięć lat po śmierci Leszka postanowili postarać się o dziecko raz jeszcze. Była to trudna i długotrwała decyzja. Doszli do

wniosku, że jest to ostatnia chwila, by się tego podjąć. Dziewięć miesięcy później przyszedł na świat martwy chłopiec, a Helena prawie przeplaciła poród życiem. Zaprzestali dalszych starań. W każdą niedzielę odwiedzali grób chłopców, kładli kwiaty, zapalali znicze i ocierali łzy. Grób ich mieści się nadal przy głównej alei cmentarza św. Józefa na ulicy Ogrodowej 39 w Łodzi. Po tych wydarzeniach oboje stali się bardziej zamknięci w sobie. Te dwie tragedie były katalizatorem choroby Heleny. Później było już tylko gorzej.

Czesław wstał z łóżka i nasłuchiwał. W mieszkaniu panowała kołaca w uszy cisza. Wolnym, niepewnym krokiem poszedł do kuchni sąsiadującej z pokojem, w którym spali. Puste pomieszczenie wywołało u Czesława skojarzenie ze sterylną salą operacyjną. Jedyne miejsce, gdzie mógł szukać żony, była łazienka. Wprawdzie mieli jeszcze jeden pokój, który należał niegdyś do Leszka, ale od lat był on zamknięty na dawno zagubiony klucz. Z bijącym mocniej sercem przeszedł do przedpokoju i stanął przed drzwiami łazienki. Światło wewnątrz było zapalone. Chwycił za klamkę. Zamknięte.

- Hela, jesteś tam? – Spytał drżącym głosem.

Odpowiedziała mu cisza.

- Skarbie odezwij się. - Szarpnął ponownie

Dopiero wtedy usłyszał odgłos kapiącej wody. Teraz był już pewien, że stało się coś niedobrego. Przez chwilę stracił panowanie nad nerwami i z całej siły kopnął w drzwi. Ból dużego palca otrzeźwił go. Rozejrzał się i chwycił stojący na filcowej wycieracze męski but. Jednym uderzeniem rozbił niewielkie, matowe okienko w górnej części drzwi. Gdy zajrzał przez nie do środka, zobaczył Helenę leżącą we wannie. Miała szeroko otwarte oczy i przecięte nadgarstki. Czesław zemdlął.

Teraz, przeszło dwadzieścia lat później, wspominał ten dzień równie wyraźnie, jakby ten feralny ranek był dzisiaj. Stary człowiek siedzący w fotelu, w którym niegdyś nocami siadywała jego żona, patrzył się tępo w biel ściany przed nim. Nie potrafił do końca pojąć, co ostatecznie pchnęło ją do samobójstwa, jaka iskra rozkazała pociągnąć ostrzem żyłki po żyłach. Obok, na stoliku, skierowany w stronę ściany stał stary projektor filmów ośmiomilimetrowych. Czesław kupił go wraz z ręczną kamerą ponad czterdzieści lat temu od przyjaciela z pracy – Franciszka Małomiejskiego. Franciszek zmarł na raka kości zeszłej zimy. Od kogoś słyszał, że przed śmiercią wył z bólu wydając z siebie dźwięki nieznane ludziom.

Drżącą dłonią nacisnął czerwony przycisk rozruchu projektora i powoli usiadł wygodniej w fotelu. Obraz zamigotał bielą i ujrzał Helenę płynącą w strumyku. Obok płynęły Reks i Matys

– teriery szkockie. Pozbawiony dźwięku obraz nie przeszkadzał staremu człowiekowi. Doskonale wiedział, co wtedy do siebie mówili.

- Woda jest zimna jak jasny gwint – pamiętał, że Helena zaśmiała się. – Sam powinienes tu wejść.

- Nie mogę. – Odparł wtedy. – Muszę filmować.

Na ekranie Helena dopłynęła do brzegu i podeszła do niego tak blisko, że teraz zdawało mu się, iż może jej dotknąć.

- Daj mi na chwile kamerę Czesiu.

Obraz na chwilę zachwiał się chaotycznie i ujrzał siebie, jak pchnięty przez żonę wpada do wody. Ilekroć to oglądał, zawsze śmiał się na głos. Pamiętał, że przepłacił to tygodniem siarczystego kataru.

Po chwili obraz zmienił się i widział Helenę zbierającą grzyby w Strykowskim lesie. Miała na sobie kwiecistą sukienkę i buty na wysokich obcasach. Poruszanie się po niestabilnej ściółce było dla niego szczytem ekwilibrystyki, ona jednak niemal tańczyła, co chwila kucając po okazałe podgrzybki. Była wtedy w drugim miesiącu swej pierwszej ciąży.

- Kolację już mamy. – Powiedziała wtedy patrząc prosto w obiektyw. Wzrok miała młodzieńczy i szczęśliwy. Taką ją zapamiętał.

Od czasu, kiedy zaczął miewać sny, oglądał ten film znacznie częściej.

- Moja Helenka żyje. – Powiedział do siebie. – Żyje tutaj u mnie. – Poglądził nagrzaną od lampy obudowę projektora.

Pierwszy tak realny sen o Helenie naszedł go kilka miesięcy temu, tuż po pogrzebie Franciszka. Dużo wtedy myślał o śmierci. Nic w tym dziwnego, wszyscy, których kochał, odeszli. Nie został mu nikt, prócz kobiety z opieki społecznej, która robiła dla niego zakupy dwa razy w tygodniu i w razie potrzeby wzywała lekarza. Zastanawiał się, jak wygląda ta druga strona ludzkiego życia. Czy chóry anielskie naprawdę witają nowoprzybyłych? Czy bramy niebios naprawdę otwiera św. Piotr? Czy śmierć boli? Rodzących się pytań było całe mnóstwo. Najważniejszym jednak było to, czy Helena tam czeka. Odpowiedź dostał niedługo potem. Z początku oskarżał siebie o starczą demencję, halucynacje i - jak to nazywał - korozję mózgu. Jednak w żaden racjonalny sposób nie potrafił wyjaśnić pochodzenia dorodnego podgrzybka, którego znalazł pewnego ranka na kuchennej ladzie.

Jak każdy sen, nie wydawał się być snem, nim przyszło przebudzenie. Wędrował w nim przez las próbując nadarzyć za Heleną, która niemal biegła od zagajnika do zagajnika

w poszukiwaniu darów lasu. Patrzył na nią. Na przedramieniu przewieszony miała wiklinowy koszyk, do połowy wypełniony grzybami. Otaczająca ją zieleń niemal raziła w oczy swą intensywnością. Czesław zauważył, że zieleń nabierała swej siły tylko wtedy, gdy jego żona była bliżej roślinności. Kiedy się oddalała, całe widowisko tonęło w szarościach. Nawet ptaki mieniły się barwami tęczy, gdy były bliżej niej. Nagle zatrzymała się i odwróciła do niego. Zachichotała. Czesław obserwował zaciekawiony, co robi. Helena zdjęła koszyk i postawiła go na ziemi tuż obok swoich stóp. Podmucha ciepłego wiatru zafalował sukienką a kwiaty na niej zdawały się tańczyć.

- Przyjdź do mnie. – Powiedziała ciepło – Przyjdź i zostań ze mną.

Mężczyzna podszedł do niej uśmiechając się. Objęła go i pocałowała. Zerwał się wiatr, a zieleń zaczęła rozlewać się po każdym drzewie, krzaku, źdźble trawy. Usłyszał odgłos, jakby miliony iskier sypały się teraz na nich z nieba. Piękny, kojący dźwięk, kojarzący się tylko z najmiłszymi chwilami w życiu. Chciał, by chwila ta trwała najdłużej jak tylko to było możliwe. Najpiękniejsza chwila w życiu. Tak, to była ona.

Helena popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Kocham cię. – Szepnęła. – Zawsze cię kochałam. Nawet, gdy myślałeś, że tak nie jest. Kochałam, kocham i będę kochać. – Wtuliła policzek w jego pierś. – Ale błagam, przyjdź do mnie i zostań ze mną.

- Jestem przy tobie, Słoneczko. – Odparł – Jestem i zawsze będę.

Helena podniosła głowę i uśmiechnęła się. Dopiero wtedy zauważył, że trzyma w ręku niewielki podgrzybek. Podniosła go na wyprostowanej dłoni prawie do jego oczu i dmuchnęła. Grzyb nagle zamienił się w niewielkiego ptaka. Nigdy takiego nie widział. Miał brązowy łepok i zielono – żółtą resztę ciała, a to, co pokrywało go nie było piórami, lecz rodzajem osobliwej sierści. Ptaszek otrząsnął się, jakby zdziwiony, przekrzywił ciekawsko brązową czuprynkę, zakwilił melodyjnie i poderwał się z gracją do lotu. Unosił się powoli i dostojnie. Nie jak mały, szybki ptaszek, lecz jak orzeł. Ten widok miał w sobie coś bardziej magicznego, niż nabierająca barwy zieleń lasu.

- Leć do domu mały przyjacielu – zachichotała Helena. – Leć do domu.

Po tych słowach Czesław obudził się. Płakał. Kiedy niespełna kwadrans później wszedł do kuchni i zobaczył grzyb, leżący na ladzie poczuł, jakby całe jego wnętrze wypełniło się lodem.

Pogotowie zabrało go wpół do trzeciej nad ranem. Kiedy jechał karetką, ból w klatce piersiowej zmalał, ale nadal był potworny. Pędzili na sygnale wprost do szpitala im.

Kopernika. Lampa jarzeniowa trupio oświetlała wnętrze. Gdy otworzył oczy, jeden z sanitariuszy zauważył to.

- Słyszysz mnie pan? – Spytał świecąc małą latarką w oczy. – Niech pan tylko mrugnie.

Czesław potwierdził i zamknął oczy. Bolały go.

- Miał pan zawał. – Kontynuował pisząc coś w notesie. – Wszystko będzie dobrze. Najważniejsze, że odzyskał pan przytomność. – Usiadł obok niego i odetchnął.

- Może pan mówić?

- Tak. – Powiedział chrapliwie i odniósł wrażenie, że gardło drze mu się na milion cieniutkich paseczków.

- Jeśli przy mówieniu czuje pan ból, to przez to, że oddychał pan przez usta. Ma pan po prostu wyschnięte gardło. Im więcej pan będzie mówił, tym szybciej ból minie. I proszę się napić. – Podał mu pojemnik z wodą, z którego wystawał dozownik. – Tylko powoli. Włożył końcówkę dozownika do ust mężczyzny i podał odpowiednią dawkę.

- No, to powinno pomóc.

Czesław zauważył identyfikator sanitariusza. „Jan” – odczytał z niego. Reszta była napisana mniejszą czcionką, tym samym prawie niemożliwa do odczytania przez jego stare, bolące oczy. Próbował sobie cokolwiek przypomnieć. Pamiętał jedynie, że oglądał film z Helenką - ten, w którym pływa w jeziorze. Nie miał problemów z przypomnieniem sobie, co robił wcześniej. Pamiętał, jak jadł kanapki i czytał gazetę Przypominał sobie, jak wcześniej golił się i starał ułożyć resztkę swoich siwych, niegdyś bujnych i kruczoczarnych, włosów. Przypominał sobie o grzybie, który wziął się niewiadomo skąd.

- Panie Janku, co właściwie się stało? – Spytał przejęty, zmęczonym, cichym głosem.

- Miał pan zawał, mówiłem panu o tym. – Odparł.

- Tak, wiem. – Czesław przyjrzał się teraz dokładniej identyfikatorowi. „Starosiński” – brzmiało nazwisko młodego człowieka. – Ale jak mnie znaleźliście?

Janek uśmiechnął się lekko pod wąsem.

- Zwyczajnie. Dostaliśmy zgłoszenie.

- Zgłoszenie?

- Tak, dyspozytorka powiadomiła nas o pańskim przypadku i zjawiliśmy się najszybciej jak tylko się dało.

Czesław zmarszczył brwi. Za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, żeby wzywał pogotowie.

- Swoją drogą, miał pan mnóstwo szczęścia, panie Niemczycki.

- Jak to?

- Dyżpozytorka nie była pewna pańskiego adresu. Połączenie było fatalne. Mówiła, że ledwo słyszała głos, ale jednak słuch ma dobry. – Janek zaśmiał się wyjmując z kieszeni gumę do żucia. – Szczęście, że nie pomyliła adresu.

-Jaki głos? – Czesław próbował się podnieść z noszy. Janek powstrzymał go gestem ręki.

-Niech pan leży spokojnie. – Powiedział. – Już dojeżdżamy.

-Jaki głos? – Powtórzył z dużym naciskiem.

- Nie wiem. Kiedy dotarliśmy, w mieszkaniu znaleźliśmy tylko pana, a podobno dzwonił jakiś chłopiec. – Sanitariusz spojrzał na niego badawczo.

– Jeśli to panu pomoże, to wspominała też coś o głosie drugiego chłopca. Słyszała go w tle.

-Jakiego chłopca? – Czesław był zdezorientowany.

- Nie wiem. – Rzekł pan Janek. – Słyszała tylko jego krzyk, coś jakby „Mamo, ratuj tatę”.

Za każdym razem, kiedy kładę kwiaty na ich grobie, zastanawiam się, co dokładnie zaszło wtedy w domu pana Czesława. Zmarł kilka dni po tym, jak przywiozłem go na oddział. Dostał najlepszą i najszybszą pomoc, ale nie przeżył drugiego ataku serca. Przez te kilka dni pobytu w szpitalu opowiedział mi całą swoją historię. Historię wielkiej miłości i pasma nieszczęść, które nawiedzały go przez całe życie. Opowiadał tak, jakby nie mówił o swoim pechu, lecz o pechu kogoś zupełnie innego, bez rozczulania się, bez płaczu i żalu. Natomiast wspominając swoją żonę, promieniał, oczy robiły się mokre a on mówił i uśmiechał się tak, jakby stała koło niego, jakby zaraz miał poderwać się z łóżka i przytulić ją najmocniej na świecie.

Byłem przy nim, kiedy umierał. Reanimacja nie przynosiła rezultatów, a chaos, jaki zapanował przy jego łóżku był niewyobrażalny. Wszyscy polubili pana Czesława i wszyscy chcieli uratować mu życie, ale nawet gdyby był tam cały rzymski legion, nie udałooby się to. Po prostu tak miało być. Pamiętam jego ostatnie słowa, wypowiedziane tuż przed tym, jak na monitorze pojawiła się cienka, czerwona linia.

- Przyjdę do ciebie, Helenko. – Wyszeptał niewyraźnie. – Już idę do ciebie. Czekaj na mnie z chłopcami. – Po tych słowach zamknął oczy i nastąpił zgon. Chwilę później, mimo zamkniętych okien, w sali powiał wiatr i wszyscy usłyszeliśmy jakby z nieba sywały się na

nas miliony iskier. Poczuliśmy zapach lasu i niczym niedający się wytłumaczyć błogostan.
Przed chwilą zmarł nam pacjent, a my czuliśmy się jak najszczęśliwsi ludzie na świecie.
Czuliśmy się tak, jak on.